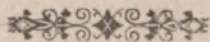


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Grób Syrokomli.

GRÓB SYROKOMLI.

Ludwik Kondratowicz, znany powszechnie pod pseudonimem Władysława Syrokomli, spędził prawie całe życie w zaciszu wiejskiem, umiał też z uderzającą prawdą malować w poezjach swoich lud, uczucia jego, smutki i pragnienia, słusznie przezwano go lirnikiem wioskowym. Nie był on tak genialnym poetą, jak Mickiewicz, nie sięgał tak wysoko, ale w pięknych gawędach jego tyle

jest miłości dla kraju, dla rzeczy swoich, taka z nich wieje nuta serdeczna i tkliwa, że zjednały autorowi powszechnie uznanie. Rycina nasza przedstawia skromny grobowiec poety na cmentarzu wileńskim; dotąd nie zebrano się jeszcze na wzniesienie mu okazalszego pomnika. Płyta kamienna, osłonięta krzakami bzu, ma napis następujący: „Ś. P. Władysław Syrokomla, urodził się 17 Września 1823 r. umarł 3 tegoż miesiąca 1862 r. Osierocona żona z dziećmi tę pamiątkę poświęcają”.

Wyżej zaś wryto wiersz z poezji Syrokomli,
„Lirnik wioskowy:“

„Skonał grając na lirze”.

Przyjazna ręka dodała do tego:

Cześć twój pamięci, lirniku wioskowy,
Twym piosnkom wieczna niech będzie cześć!
Ty w naszych sercach pomnik wiekowy,
Twardszy nad granit umiałeś wznieść.

M. K. Ż.

A teraz z przyjemnością zapewne odczytacie
prześliczny poemat, z którego ów wiersz umieszczono
na pomniku wyjęto.

LIRNIK WIOSKOWY.

Sielanka.

I.

Liro ty moja śpiewna!
Z czarodziejskiego drewna
Snać ciebie wyrobiono.
Skoro wezmę cię w ręce,
Gdy twą rączkę zakręcę,
Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznaną,
Jakby na sercu grano,
I smutno i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty,
Gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę:
I dzień, i noc, i jeszcze...
Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy;
Aż mi do bladój twarzy
Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka,
Niech sobie serce pęka,
Przecie tonów nie zniżę;
Nie żałuję mej głowy,
Wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna,
Z czarodziejskiego drewna!
Niebezpieczne narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie,
Kto się dotknął do ciebie,
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie,
Wnet sercu kochać chce się,
I tęsknota ogarnie.
Tys pokaraniem Bożem,
Z tobą, jak z ostrym nożem
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą,
A piosnka duszę młodą,
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda,
Ze świat i wiary nie da:

Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą,
Że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętką bodzie:
Grać od serca, grać wiele,
Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie:
Grać przed moją jedyną,
Niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa,
Czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczno.
Patrzcie na dziewę moją!
Przy niej chłopcy się roją,
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali,
Drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem polyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza:
Znaj, co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę,
Ani pieśni, ni głowy —
Hardy lirnik wioskowy
Skona grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna,
Z czarodziejskiego drewna!
Wątle z tobą nadzieje!
Snać twe piosnki nie piękne!
Czy przed Bogiem ukłękne,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi
Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy
Słyszy, jakby nie słyszy,
O, dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza,
Że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wyteżę,
Książd na mnie patrzy gniewno,
Że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitrężę.
Kiedy pójde we święta,
Gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klnę, że w piersi mi wrosło
Pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słuha lirnika,
Ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada —
Ja pieśnią serca proszę,
Ona rzuci trzy grosze
I z innym płasa rada.
Starzec westchnie i powie:
„Za mych czasów grajkowie
Toć to grali dla duszy!
Dzisiaj idzie w zawody
Jakiś młodzik bez brody;
Trąbić mu w róg pastuszy!”
I tak wszyscy zebrani,
Jeden chwali, ten gani —

Klaniam, klaniam uprzejmie,
 Otóż wielka mi łaska,
 Że ktoś w dłonie zaklaska,
 Ale serce odejmij!
 Liro! próżnaś przynęty,
 Strzaskaćby cię na szczęty,
 Z ciebie ciernie i krzyże!
 Lecz tyś promień mej głowy,
 Wszak ja lirnik wioskowy
 Skonam grając na lirze.

IV.

Liro ty moja śpiewna,
 Z czarodziejskiego drewna!
 Ludzie łzami mię poją!
 Tyś dla mnie ulgą Bożą,
 A gdy mnie w grób położą,
 Ty będziesz chlubą moją.
 Bądź rozgłośnie, rozgłośnie
 Twoje echo urosnąć!
 Zolbrzymieją me słowa;
 Pójdę z kraju do kraju,
 Do samego Dunaju,
 Do samego Kijowa.
 Kiedyś w okno sąsiada
 Cudzych ludzi gromada
 Ciekawie zakolata:
 „Przyszliśmy patrzeć dziwa,
 Gdzie wasz lirnik spoczywa,
 Lirnik głośny u świata”.
 Wtedy z całego siola
 Ciekawość lud wywoła,
 I będą czynić wnioski,
 Szeptać ściskając plecy:
 „Zkąd ci ludzie dalecy
 Znają pieśni tej wioski?”
 Wiosce chluba urasta;
 Młodzian, dziewczę, niewiasta,
 Przed ludźmi cudzej ziemi
 Westchnieniem i gawędą
 Sławić lirnika będą,
 Co śpiewał i żył z niemi.
 I powiodą przybywszy
 Do cmentarnej zaciszy,
 Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
 I rzekną, wznosząc głowy:
 „Tu nasz lirnik wioskowy
 Skonał grając na lirze.”

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

III.

W kilka miesięcy po pogromie podhajeckim, Jan Kazimierz znękanym i zniechęconym niepomyślnością swego panowania, niesfornością i intrygami szlachty polskiej, dobrowolnie zrzekł się korony i wyjechał do Francji. Zdawało się, że tak świetne zwycięstwo, tak wielkie poświęcenie dla kraju,

powinno było zjednać Janowi Sobieskiemu uwielbienie powszechne, jeżeli nie miłość. Gdyby naród dobro ojczyzny jedynie miał na celu, zrozumiałby odrazu, że takiego człowieka słuchać należało i jemu losy kraju powierzyć. Sobieski nie żądał nawet tronu dla siebie, jemu wystarczała sława wojenna i o to mu szło jedynie, aby miał pole do działania i mógł pomścić na poganach wiekowe krzywdy, śmierć brata, wuja, dziada, spoczywających w grobach żółkiewskich. Tymczasem, pomimo bohaterskiego ducha i prawdziwego geniuszu wojennego, trudno mu było tego dokonać, gdyż miał ręce związane; zawiść rodaków, nierozsądek ich i zaślepienie stawały mu ustawicznie na drodze. Jako wódz, wiedział on, że tylko posłuszeństwo prawu i władzy może kraj wzmocnić i naród uczynić zdolnym do stawienia czoła potężnemu nieprzyjacielowi. Dla tego to Sobieski, jeszcze za panowania Jana Kazimierza, gorąco popierał kandydaturę księcia francuzkiego, sądził bowiem, iż taki obcy monarcha, wsparty powagą i opieką potężnego króla Ludwika XIV go, potrafi butną a niesforną szlachtę polską skłonić do jakiejś takiej uległości. I teraz więc, w czasie bezkrólewia, nie o sobie myślał, tylko pragnął, aby obrano króla energicznego i rozumnego, któryby dobro kraju zapewnić umiał.

Ale naród nasz na nieszczęście często tak postępował, jak gdyby o dobro własne wcale nie dbał, dążąc przeciwnie wprost do zguby. Gdy największe niebezpieczeństwa zagrażały krajowi, szlachta z niepojętą lekkomyślnością, zamiast zgodnie skupić wszystkie siły ku jego obronie, wszczyniała wadźnię pomiędzy sobą, zapomniała zupełnie o sprawach najważniejszych, gotowa poświęcić je bez wahania dla osobistych zawiści. Smutno jest zapewne mówić o tym, nie powinniśmy jednak zapominać, że z dziejów ojczystych czerpać mamy przykład i naukę. Nie wychwalajmy więc tego, co było złe, a starajmy się dobre tylko naśladować.

Obiór Michała Wisniowieckiego na króla wpłynął właśnie z takich niegodnych i niedorzecznych pobudek. Szlachta powiedziała sobie, że postawi na swoim, nie da sobie narzucić francuzkiego księcia, ani żadnego takiego, któryby miał ochotę ukrócić jej swawolę, wołała więc osadzić na tronie niedołęznego młodzieńca, aby był tylko manekinem koronowanym. Z boleścią wyznać musimy, iż ojcowie nasi postąpili w tym razie, jak uparte dzieci. Sobieski nie mógł być zadowolony z takiego króla, a chociaż zrazu niechęci tej nie okazał, niósł nawet berło przed Michałem w czasie koronacji, z urzędu marszałka koronnego, w duszy jednak zachował gorycz i zniechęcenie.

Sprawy wojenne oderwały go wkrótce od sto-

licy, kozacy z atamanem Doroszeńką naprowadzili znów Tatarów na ziemie ukraińskie i podolskie, hetman rozgromił najezdców, lecz widząc, iż groźniejsza daleko burza zbiera się od strony Turcyi, zażądał posiłków i przedstawiał gwałtowną potrzebę uzbrojenia wojska ku obronie granic Rzeczypospolitej. Król zebrał sejm, wcale jednak nie nalegał na to, aby większe wojsko oddano pod rozkazy Sobieskiego. Nie ufał on hetmanowi, czuł własne niedołęztwo, i wyższość jego nad sobą, zazdrościł mu nawet sławy wojennej, obawiał się, aby stanąwszy na czele licznego wojska nie zechciał jawnie przeciwko niemu wystąpić. I nie mylił się w tém król Michał: Sobieski rzeczywiście zamysłał o zrzuceniu go z tronu i powołaniu na jego miejsce francuzkiego księcia de Longueville. Hetman, pomimo wielkich cnót swoich i zasług, nie był całkowicie wolnym od wad narodowych, on także chciał prawo na bezprawiu zbudować. Można wszakże na obronę jego powiedzieć, że nie powodował się wcale osobistemi widokami, w niedołęztwie króla widział zgubę kraju, i ratować go pragnął. Całe nieszczęśliwe panowanie Michała Korybuta jest najlepszym dowodem, że Sobieski miał słuszość.

Chytry sułtan turecki wiedział doskonale o wszystkim, co się w Polsce działo, postanowił też skorzystać z tych wewnętrznych zamieszek i wysłał do króla Michała list z najzuchwalszemi pogroźkami, wzywając go, aby nie śmiał niepokoić wiernego sługi jego Doroszeńki i odstąpił dobrowolnie ziemie ukraińskie Wysokiej Porcie, oraz zobowiązał się do wypłacania haraczu, a nakoniec aby na znak poddania włożył na siebie kaftan lennika sułtańskiego. Gdy więc Mahomet IV, wraz po wysłaniu tego listu gotował się do najechniania Polski, zbierając ogromne wojska, zapewniając sobie pomoc ord tatarskich i kozaków, sejm, który miał obmyślać środki obrony od tak groźnego nieprzyjaciela, zerwany był przez jednego, niesfornego posła. Rozważniejsi panowie dowodzili, że głos jednego warchoła nie powinien przerywać narady, mającej na celu tak ważne sprawy, lecz zakrzyczano ich, mówiąc, że mniejsza ztąd szkoda wyniknie, gdy cząstka ziemi odpadnie od Rzeczypospolitej, aniżeliby ucierpieć miała swoboda jój synów. Straszne to było zaślepienie. I tym razem więc *liberum veto* przemogło, a grzeszna swawola jednego wydać miała kraj cały na pastwę wrogom. Cóż mógł uczynić Sobieski z garstką żołnierzy głodnych, obdartych, którym oddawna niewypłacano żołdu i żadnej pomocy nie dawano? Musiał siedzieć beczynninie. A krzykacze nie przestawali powtarzać najbezczelniej, że wielki hetman zmyśla niebezpieczeństwo, byle tylko dla własnych wi-

doków wojsko zagarnąć pod swoje rozkazy. Szydzo no sobie z nawały tureckiej, która tyle razy dawała się Polsce we znaki, obawiano się jedynie, aby nikt nie naruszył swobód, a raczej samowoli szlachty, a nie dbano o tysiące jeńców, gnanych w ciężki jasyr tatarski.

Król zaś przedewszystkiem o tém myślał, aby się ubezpieczyć na tronie; ożenił się z siostrą cesarza austriackiego, chcąc sobie zapewnić opiekę potężnego sąsiada, otoczył się zausznikami, którzy nim rządzili, a byli to po większej części nieprzyjaciele Sobieskiego, z tych najzawziętsi dwaj Pacowie nienawidzili od dawna hetmana. W tym pojedynku, który zatrzymał młodziutkiego Jana we Lwowie podczas klęski batowskiej, przeciwnikiem jego był jeden z Paców. Pacowa, z domu Francuzka, niecierpiała znów rodaczki swój Maryi Kazimierzy, obie też wpływem swym jątrzyły więcej jeszcze mężów. I tak nieczne intrygi dworskie zaprzątały króla i doradców jego, podczas, gdy straszny nieprzyjaciel gotował się bez przeszkody do napaści.

Sobieski jeden widział jasno stan rzeczy, cóż dziwnego, że stracił cierpliwość i przystąpił do wykonania śmiałego zamachu, którym ratować chciał ojczyznę. Dopomagał mu w tych zamysłach prymas Prażmowski, a liczne stronnictwo najzaciejszych obywateli przyłączyło się do nich.

Zwołano znowu sejm, tym razem przybył i marszałek Sobieski do Warszawy, jak zwykle, z okazałym poczem rycerskim, otoczony gronem przychylnych sobie panów, a lud witał zawsze z zapalem i uwielbieniem dzielnego pogromcę bisurmanów. Sejm zerwano znowu, uchwaliwszy tylko pospolite ruszenie, a prymas z marszałkiem naznaczyli już nawet dzień, w którym mieli opanować zamek i niedołężnego króla detronizować. Dla załagodzenia królowej, siostry cesarskiej, obiecano jój, że rozwiódłszy się z Michałem będzie mogła zostać żoną jego następcy. Wszystko już było przygotowane do zamachu, gdy niespodzianie nadeszła wiadomość, że książę de Longueville zginął na wojnie, którą król francuzki rozpoczął był właśnie z Holandją.

Gdy to się działo w Warszawie, armia turecka przekroczyła Dunaj, sam Padyszach z majestatem i potęgą wielką wkroczył na lewy brzeg rzeki i rozłożył tam bogate swoje namioty. W kilka dni później Turcy stanęli obozem na polach cecorskich, które im przypominały świetne zwycięstwa i zagrozili twierdzy kamienieckiej. Pierwszy w tej strasznej chwili opamiętał się Sobieski, zapomniał o wszystkim, o urazach swoich i zamysłach, gotów był pojednać się, i z królem, i z osobistymi nieprzyjaciołmi, byle mu tylko pozwolono ratować

ojczyznę. Przedstawił na radzie wojennej plan genialny i podejmował się go wykonać. Nie tak wspaniałomyślnie znalazł się król Michał; podejrzewając ciągle wielkiego hetmana, trzymał go, jak mógł najdłużej bezczynnie, a gdy wreszcie pozwolił, aby odjechał do wojska, nie dał mu najmniejszej pomocy, sam zaś stanął na czele pospolitego ruszenia. „Ja się też ku ruskim krajom pomykam, pisał Sobieski, lubo sam nie wiem poco, skoro tam nie zastanę ani wojska, ani żadnych potrzeb i przygotowań do wojny, a z coraz się gorszemi potykam nowinami”.

Nowiny to były smutne w rzeczy samej. Kamieniec nadaremnie stawiał mężny opór przemagającej sile, błagając króla o pomoc, w Warszawie i teraz jeszcze nie dowierzano, aby niebezpieczeństwo było tak groźne; w końcu więc twierdza, przywiedziona do ostateczności, poddała się Turkom, którzy jej łagodne postawili warunki. Sam biskup Lanckoroński musiał, wedle tureckiego obyczaju, przywdziać na siebie haniebną kaftan, na znak poddaństwa, a tłumy ludności, którym dozwolono ujść z życiem, rozniosły żałosne wieści o tryumfie nieprzyjaciela po całym kraju. Kościoły kamienieckie zamieniono na meczety, do dziś na dzwonnicy katedry, z minaretu przerbionej, przechował się półksiężyc turecki, na którym ustawiono posąg Matki Boskiej. Kamieniec przez lat dwadzieścia kilka pozostawał w rękach Turków.

Rozpocząwszy tak świetnie działania swoje, sułtan szybko zbliżał się do Lwowa, który pozbawiony był wszelkich środków obrony. Król, głuchy na prośby i przedstawienia Sobieskiego, ani myślał o posłaniu tam jakiegokolwiek pomocy; ścigał powoli pospolite ruszenie w okolicach Gołębia w lubelskiem, i dla własnego bezpieczeństwa resztę wojsk regularnych wezwał do swego boku, a w końcu i Sobieskiemu przybyć tam kazał. Lwów obleżony stracił już wszelką nadzieję ratunku, gdy nagle król wysłał do sułtana posłów i prosił o pokój, przyjmując najhaniebniejsze warunki, odstępując Ukrainę i przyrzekając opłacanie haraczu. Podczas gdy układy prowadziły się w Buczaczu, sułtan powstrzymał szturm Lwowa, ale chanowie tatarscy nie chcieli się zrzec spodziewanego rabunku i wnet krwawe zagony swe rozpuścili na wszystkie strony. Rozpoczął się straszny rabunek, tłumy ludności chwymano w jasyr, wioski palono, złowrogie łuny pożarów co noc rozświetlały widnokrąg dokoła. Pohaństwo nie chciało bez łupów opuszczać ziem polskich.

Ocknął się wreszcie król Michał i na prośby Sobieskiego pozwolił mu ścigać chciwych Tatarów. Jak lew zraniony zerwał się wówczas bohaterski

hetman z przymusowej bezczynności i pomknął z garstką walecznych swoich chorągwi. Jakże wielkiej mocy ducha potrzeba było na to, aby w takich warunkach, wśród tylu intryg, podejrzeń, wśród przeszkód tysiącznych, rąk nie opuścić i podjąć ratunek kraju wówczas, gdy własne dzieci, król, naród, wszyscy sprzyślegli się na jego zgubę. Uczynił to jednak Sobieski, on jeden, śmiało powiedzieć to można, ocalił Polskę od ostatecznej zagłady. Mając pod rozkazami swemi zaledwie parę tysięcy ludzi, puścił się w pogoń za pohańskimi hordami, przebiegał z chyżością niepojętą ziemie podolskie i ruskie, jak grom spadał na kosze (obozowiska) tatarskie, rozbijał do szczętu liczniejsze daleko oddziały od swojego, odbierał tysiące brańców, kobiet, dzieci, a wszystko to padało przed nim na kolana i błogosławiło ze łzami wybawcę swego; nakoniec przeprowił się w bród przez Dniestr i napadł pod Kałuszem na hordy najsilniejsze, które tam zebrały się pod wodzą dwóch chanów dla rozdzielenia łupów. Cała ta tłuszcza, nieprzygotowana na tak gwałtowne natarcie, pierzchnęła w nieładzie, zostawiając brańców i łupy. Wszystkie chorągwie dostały się do rąk rycerzy polskich, najwyżsi dostojnicy tatarscy wzięci byli w niewolę.

Tym sposobem Jan Sobieski rozgromił wszystkie zagony tatarskie, plondrujące po kraju, rozbił cztery większe kosze i kilkanaście mniejszych, uwolnił trzydzieści tysięcy brańców, a donosząc o tych świetnych czynach królowi, przepraszał go za listy nieporządne, za lichy papier, gdyż w polu, na bębnie, wśród surmy bojowej pisać musiał. Dodawał także z goryczą, iż nie spodziewa się wdzięczności ani uznania od rodaków, mówiąc w końcu: „Ja się wszakże i tą jedną kontentować będę nagrodą, którą mi z nieba kilka tysięcy chrześcijańskich uprosi niewiniątek”. Lecz nie dość na tém: sułtan, który stał ciągle pode Lwowem, czekając ukończenia układów buczackich, strwożył się nagle wieścią o pogromie sprzymierzeńców swoich pod Kałuszem i szybko cofać się zaczął ku Dunajowi. O! gdybyż Sobieski miał być wówczas wojsko i władzę w ręku, byłby hardy Turczyn nie przekroczył spokojnie Dunaju, kto wie, możeby już wówczas potęgą jego poniosła stanowczą porażkę, którą później dopiero miał mu zadać pod Wiedniem ten sam „lew Lechistanu”. Pisał też hetman do króla, jako przekonał się własnym doświadczeniem, iż nie tak straszno jest wojować z poganami i łatwo możnaby im dać rady, gdyby tylko mieć siły po temu.

A cóż czynił przez ten czas król Michał ze swoim pospolitem ruszeniem? Podpisawszy haniebną traktat buczacki, czekał na kaftan lennika,

który mu sułtan przyobiegał i pozwalał pod bokiem swoim i pod swoją opieką knuć spiski na jedynego obrońcę kraju, który w tej chwili życie swoje narażał na polu bitwy. Nie miał on tyle szlachetności, aby w tej chwili o osobistych urazach zapomnieć. W następującym rozdziale obszerniej o tém opowiemy.

(D. c. n.)

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNY,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Tak, tak, mój chłopczyku — mówił dalej Elias, przychodząc mi w pomoc — posłuchaj, a dowiesz się ciekawszych rzeczy od bajek czarodziejskich. Czy ty wiedziałeś o tém, że ta śliczna filiżaneczka, którą piłeś herbatkę w Londynie, była kiedyś grudką gliny, leżącą na jednej z tych łodzi, co się wloką za naszym parowcem.

Ale Janek dość obojętnie przyjął tę wiadomość, zaczął poziewać i powiedział, że chce do domu i do łóżeczka. Powietrze morskie go usypiało.

— Ba! nie tak prędko będziemy w domu — rzekł Elias — statek płynie wolno, nie może pospieszyć, wlokąc za sobą taki ciężar. Trzeba tego małego jegomości zabawić, żeby nie usypiał przed nocą.

I poczciwy Elias usiłował naprawdę zabawić opowiadaniem rozmarzone dziecko.

— Słuchaj, Janku, opowiem ci ładną bajeczkę. Była to sobie grudka gliny, wydobyta z ziemi, z dużego pokładu, jak dziedzic powiada, i leżała sobie przy drodze. Przechodził tam dziedzic i zobaczył ją. „Zdaje się, że to właśnie taki gatunek gliny, jakiego nam potrzeba“, rzekł i zaczął zaraz szukać, czy nie znajdzie się gdzie więcej takich grudek. Przywołał ludzi, ci zaczęli kopać i złożyli małą grudkę wraz z wielu innymi na dużą kupę. Ta kupa gliny leżała tak całe tygodnie i miesiące, deszcz ją moczył, słońce suszyło, aż w końcu włożono ją na dużą łódź, tę łódź uwiązano do parowca i odstawiono do portowego miasta. Ztamtąd znów na inną łodzi glina ta odpłynęła kanałem w głąb kraju, do ogromnej fabryki. Fabryka to taki budynek, gdzie są wysokie, dymiące kominy, gdzie mnóstwo ludzi w fartuchach pracuje, a maszyny o kołach zębatych kręcą się i hałasują nieustannie.

Biedna glina przechodzi tu przez rozmaite koleje. Najpierw ją rozkruszają na proszek i rozmaczają w wodzie; potem dodają do niej po trochu innych proszków i płynów. Ugniatają ją ogromnym

kołem, macerują, mieszają, aż w końcu przechodzi w ręce ludzi, którzy ją urabiają palcami, nadając jej różne kształty. Nakoniec pakują ją do ogromnego pieca i palą na ogniu. Maczają następnie naszą glinę w takim osobliwym płynie, który jej nadaje blask piękny, malują przeróżnymi farbami, już teraz ani podobna jest do tego, czém była, leżąc w ziemi, jest twarda, gładziuteńka, leciutka. W końcu obwijają ją w miękki papier, pakują w skrzynie drewniane i wysyłają na drugi koniec świata. Tu dopiero tę glinę wydobywają, rozwijają, obcierają, ustawiają na stoliku, wszyscy ją oglądają, zachwycają się jej pięknnością, a ta glina, to jest...

— Co takiego? — zawołał Janek bez tchu prawie.

— Filiżanka.

— Eliaszu — odezwał się w tej chwili wuj Ruben, podchodząc do nas — przestań już gawędzić i odprowadź dzieci na dół; majtkowie powiadają, że ta mgła nie wróży nic dobrego.

Dalsze przygody nasze z powodu tej mgły, która szarym, posępnym płaszczem osłoniła całe morze, opowiem w następnym rozdziale.

IV.

T r w o g a.

— Mój wuju, po co ja tu mam siedzieć w tej ciasnocie? — mówiłam, gdy Janek usnął w hamaku, w malutkiej kajucie sternika. Rzeczywiście, tak tam było duszno, pełno wyziewów tytoniowych, że pobyt w kajucie nie mógł być dla nikogo przyjemnym. — Mój wuju, ja pójdę na pokład.

— Jak chcesz, Emilciu — odpowiedział wuj Ruben; — zdaje mi się, że spostrzegł był już we mnie niezwykłą siłę woli i nie próbował mi się wręcz opierać — ja nie jestem marynarzem i przyznam się, że nie lubię patrzeć na rozhukane morze; ale ty sobie rób, jak chcesz, Janka możesz bezpiecznie ze mną zostawić.

Poszłam więc, zawiązawszy mocno wstążki od kapelusza pod brodą, i owinąwszy się starannie w płaszczyk. Niesłusznie jednak wuj wspominał o rozhukaném morzu, nie było ani burzy, ani zbyt zimna, tylko mgła taka zawisała w powietrzu, że nic a nic nie można było dostrzedz wśród tej ciemności ciężkiej, jakby ołowianej. Nie mogłam rozróżnić łodzi, uwiązanych do statku, nawet ludzie, stojący na przeciwnym końcu pomostu, ukazywali mi się niewyraźnie, jak widma. Słyszałam tylko ich głosy, zmieszane z pluskiem fal, rozcinanych przez koła parowca.

Pierwszy raz w życiu byłam na morzu, a zwłaszcza to szczególne na mnie wywarło wrażenie,

nie obawy, nie znałam tego uczucia, ale ciekawości i podziwu. A wyobraźnia moja przez tę mgłę gęstą w dal mnie unosila, odległość znikala i zdawało mi się, że nic mnie nie dzieli od tej samotnej wyspy, rzuconej wśród pustyni oceanu, od skalistych wybrzeży S-tój Heleny, gdzie myślą tak często błądziłam.

Marzenia te wpołsenne rozpraszaly się chwila mi, powracałam wówczas do rzeczywistości i przychodziło mi do głowy, że statek wśród takiej mgły może drogę zmylić, albo rozbić się na jakiej rafie. Nie budziło to jednak żadnej trwogi we mnie. Nakoniec uziębłam trochę i zbliżyłam się do kotła, aby się ogrzać. Stało tam kilku majtków, a pomiędzy nimi Eliasza Lee i rozmawiali półgłosem.

— Jak myślisz, Jakóbie — mówił Eliasza do sternika — czy dobijemy się dziś do przystani?

— Coś mi się nie zdaje — brzmiała odpowiedź.

— Ależ czarno, no, czarno! — odezwał się inny — a jak sądzisz, Jakóbie, czy daleko jesteśmy od lądu?

— Albo ja wiem.

Ta ostatnia odpowiedź niemile mię jakoś tknęła. Odpadła mi nagle ochota przechadzania się po pokładzie, zeszedłam do kajuty zobaczyć, co się dzieje ze śpiącym braciszkiem. Wuj Ruben siedział przy nim nieodstępnie i powiedział mi, że się ani razu nie przebudził. Ale po chwili malec zerwał się i zaczął wołać ze snu, jak mu się to często zdarzało:

— Mamo! nianiu! nie odchodźcie odemnie. Czego tam taki hałas na okręcie? — śniło mu się pewnie, że płynął z Indyj z rodzicami. Potem rozbudził się zupełnie, nie przestał jednak płakać i grymasić.

— No, cicho, cicho, biedne maleństwo — uspokajał go wuj Ruben — na masz kawałeczek lodowatego cukru. Niezadługo przyjedziemy do domu, dostaniesz wieszczę i położysz się w wygodnym łóżeczku. Eliaszu, Eliaszu, czy nie mógłbyś tu przyjść do nas?

Długie nogi Eliasza zjawiły się na drabince i pocziwa twarz jego po chwili ukazała się w kajucie.

— Eliaszu — mówił wuj Ruben — ty masz swoje dzieci, poradź nam, co tu począć z tym biednym malcem, żeby go uspokoić.

— Już ja tu państwu dopomogę — rzekł Eliasza — najlepiejby było, żeby się dał uspić. Z dziećmi najgorsza sprawa, gdy nie chcą spać w nocy.

— A to już musi być i późno — mówił wuj i sięgnął do zegarka — Boże drogi! a toż już po jedenastej. O której godzinie będziemy na miejscu?

— Trudno to wiedzieć — i Eliasza zasępił się

trochę — wśród takiej mgły niema sposobu kierować statkiem, a jeszcze kiedy się ośm łodzi holuje. Jakób zna dobrze drogę, a jednak nie jest pewny, czy statek nie zboczył, powiada, że zbliżamy się podobno do brzegów wyspy Wight.

— Do wyspy Wight? Ależ my w takim razie nie dopłyniemy dziś do domu. Cóż ja pocznę nieszczęśliwy z temi dziećmi? Pocóż je narażam na niebezpieczeństwa burzliwego morza! Pocóż...

— Wuju — przerwałam, bo spostrzegłam, że te wykrzykniki przestraszyły Janka — wuju, my oboje z braciszkiem lubimy morze i nic się nie obawiamy. Ja taka rada jestem...

Ale w tej chwili przerwało mi gwałtowne poruszenie statku, który się zatrzymał i znów podskoczył, zaczął sunąć wolno, ociężale, jakby się z trudnością przepychał przez jakieś przeszkody, słyhać było skrzyp kół, zdawało się wyraźnie, że grzęzną, nakoniec oparły się o coś i wszystko ucichło, statek się zatrzymał.

— To coś niedobrego — zawołał wuj Ruben.

— Niech się pan nie lęka, to nie może być nic złego — uspokajał go Eliasza i żywo poskoczył na drabinkę, a po chwili usłyszeliśmy głos jego z góry:

— Nic się nie stało, wszystko dobrze, tylko statek osiadł na mieliźnie.

— Osiadł na mieliźnie! Boże miłosierny, zlituj się nad nami! nie nademną, ja już aż nadto długo żyłem, gotów jestem stanąć przed obliczem Twojem, ale nad temi niewinnymi dziećmi, nad dziećmi Emilci! — i pochwyił Janka na ręce, ku wielkiemu podziwieniu chłopczyny, który się był już trochę pocieszył kawałkiem lodowatego cukru.

Ja także uczepliłam się ręki wuja, chociaż nie pojmowałam, czego się tak przestraszył, skoro Eliasza powiedział, że wszystko dobrze i nic się nie stało. Serce moje zaczęło jednak bić prędeż i mocniej, przez myśl przesuwaly się wspomnienia przygód, opisywanych w podrózach małowicznych dla młodego wieku, wystawiałam sobie wszystko, co w razie nieszczęścia stać się mogło, jak statek się rozbije, lub zatonie, jak będziemy się ratowali na łodziach, lub na prędcie urządzimy tratwę, lub wreszcie my z Jankiem uczeplimy się deski, od statku oderwanej, płynąć tak będziemy długo, aż w końcu napotkamy okręt i na wpeł martwych ocala nas majtkowie, wciągając linami na pomost. W tych wszystkich niebezpiecznych przgodach ja miałam cudów bohaterstwa dokazywać, a zawsze ostatecznie, w różowych barwach moich marzeń, ratowaliśmy się szczęśliwie, o innem, smutniejszym zakończeniu, o losie rozbitków, którzy pozostają na dnie morza, stają się pastwą ryb drapieżnych, nie pomyślałam ani na chwilę. Taka przgoda

w zastosowaniu do mnie, a zwłaszcza do Janka, zdawała mi się niepodobieństwem. Uplęnęło tak z pięć minut, staliśmy wszystko troje w skupionej gromadce, nad nami, na pomoście, dawały się słyszeć szybkie stąpania, nawoływania, wreszcie wszystko cichło powoli.

— Wuju, ja pójdę na pomost, zobaczę, co tam się dzieje — nie mogłam już znieść téj beczynności.

— Biedne moje dziecko! jeśli ginąć mamy, lepij gińmy tu razem.

— Uspokój się, wuju, nic nam się złego nie stanie, Opatrzność czuwa nad nami — wierzyłam też najzupełniej w to, co mówiłam, nie było to zdanie bezmyślnie wypowiedziane — na pokładzie powiem się, co się z nami dzieje.

I poszłam odważnie. Na pokładzie przedstawił mi się ten sam widok, co i przedtém, noc tylko czarniejsza jeszcze się stała, mgła otaczała zawsze statek nieprzebitą osłoną, nie widać było, ani fal morskich, ani nieba, ani gwiazd, tylko tajemniczy plusk i szum wody niewidzialnej dawał się słyszeć. Przy świetle latarni, zapalonych na pomoście, obaczyłam majtków, rozmawiali dosyć spokojnie przy kotle i gaszącym ognisku, koła parowca nie obracały się wcale. Jakób stał przy rudlu beczynnie, obok niego zobaczyłam Eliasza, do tego ostatniego się zwróciłam.

— Panie Eliaszu, czy statek się rozbił? proszę mi całą prawdę powiedzieć, bo ja się nic a nic nie boję, tylko muszę pomyśleć o ratowaniu Janka.

— To dopiero odważna panienka! — i pogładził mię po głowie — przepraszam, panno Emilio — dodał z większym uszanowaniem — przypomniałam sobie swoje dziewczątko. Dzięki Bogu nie rozbił się nasz statek, wszak powiedziałem państwu zaraz, że nic złego niema; osiadł tylko na mieliźnie, natrafiliśmy na ławę piasku, czy coś podobnego. Jakób nie wie już teraz, gdzie jesteśmy, musimy więc czekać dnia, może się ta mgła rozejdzie, jak słońce przygrzeje. Przykra to rzecz dla państwa, ale na to rady niema. Niech panienka wraca na dół i uspokoi pana Mortona.

Takie więc było rozwiązanie wszystkich dramatycznych moich marzeń! Osiedliśmy najprościej w świecie na mieliźnie i nic więcej. Majtkowie nic sobie z tego nie robili, wszyscy prawie drzemali lub spali na dobre na pokładzie, oprócz Jakóba i Eliasza, który rzekł jeszcze:

— Panienka najlepiejby zrobiła, żeby się także położyła i zasnęła, bo tu u nas na statku niema żadnych zapasów żywności, a nie śpiąc, to się będzie okrutnie jeść chciało.

Ta wiadomość wcale mi się nie podobała. Teraz, gdy już przestałam myśleć o nadzwyczajnych przy-

godach, uczułam nagle głód dotkliwy, a co to będzie z Jankiem! Płacz jego usłyszałam w téj chwili aż na pomoście. Przypomniałam sobie, że jedząc bułki, przyniesione przez Eliasza, włożyłam kawałek niedojedzony do koszyka. Wyjęłam go teraz, i obejrzałam przy świetle latarni; rozłamał się na dwoje, było więc kawałek skórki i kawałek miększu, a oba tak malutkie, że byłabym je przełknęła w gnieniu oka.

— Jabym radził panience nie jeść tego teraz, ale schować na rano, bo wtenczas to głód będzie nie do wytrzymania.

Wzruszyłam pogardliwie ramionami, Jak też ten Eliasz mógł przypuszczać, że ja sama chcę zjeść bułkę! Jednakże pierwszy raz w życiu w téj chwili zrozumiałam dobrze znaczenie tych słów, powtarzanych przez żebraków na ulicach miejskich: „Umieram z głodu!“ Ja, córka pułkownika Liningtona, w rzeczy samej czułam, że umieram prawie z głodu. Głód prawdziwy dla takiej młodej, zdrowej dziewczyny, to jest cierpienie okrutne. Nie byłam nigdy samolubną, ale czuję, że niejednen czyn mój, którzy ludzie poświęceniem nazywali, daleko mniej mnie kosztował, aniżeli włożenie tych dwóch kawałków bułki do koszyka.

Tymczasem wuj Ruben z Jankiem wydrapali się także na pomost. Zaczęłam zaraz opowiadać ze szczegółami, jak statek osiadł na jakiejś mieliźnie, niewiadomo gdzie, jak będziemy musieli siedzieć tak do rana i t. d. Wuj załamał ręce i wzdychał raz po raz, powtarzając żałośnie:

— Biedne dzieci Emilei!

— Niech wuj się tak nie troszczy o nas — rzekłam odważnie, odbierając od niego Janka, który chętnie poszedł do mnie — nic się nam nie stanie, ale nie pójdziemy już tam na dół, do téj dusznej kajuty, pościelemy sobie mój szal na tych zwojach lin i będziemy tu sobie leżeć spokojnie do rana.

Tak też zrobiłam i jakoś nam czas przeszedł; noc była cicha i dość ciepła, okryłam starannie Janka, namawiałam go, żeby zasnął, ale zupełnie się ze snu wybił. Musiałam nieustannie z nim rozmawiać: opowiedziałam mu wszystkie bajki, jakie czytałam i słyszałam, a nie dużo tego było, więc z własnej głowy wymyślałam nowe. Kiedyniekiedy wśród opowiadania odzywał się żałosny, płaczliwy okrzyk: „Ja taki głodny!“ Ach! i ja także byłam głodna. zdawało mi się, że pożarłabym całego wołu. Opowiadając bajkę o wielkoludzie żarłoku, co sobie w ogromnych kotłach gotował pućyngi, zaciskałam zęby i język do krwi ukąsiłam. Do dnia dzisiejszego nie mogę odmówić jałmużny żebrakowi, który mi powie, że jest głodny, chociaż wiem, jak często mój grosz idzie na gorzałkę.

— Emilciu, siostrzyczko, czy ty nie masz nic do jedzenia?

— Poczekaj, Janku, jak dokończymy tój bajeczki — i starałam się, aby opowiadanie ciągnęło się jaknajdłużej, ale wszystko musi mieć swój koniec. Dobyłam więc kawałeczka bułki z koszyka

On pożarł w mgnieniu oka bułkę i wyciągnął rączkę, wołając:

— Jeszcze! jeszcze!

— Masz kawałeczek jeszcze, to już tylko miękisz, ale także bardzo smaczny.

— Jaka ty niedobra, Emilciu; sama pewnie



Żydzi w Maroko (str. 683).

przy świetle latarni Jakóba. Sternik popatrzał na mnie i mruknął półgłosem: „Biedactwa!”

— Patrz, Janeczku, nie mam nic innego dla ciebie, tylko kawałeczek suchej bułki, ale to taka dobra, ramiana skóreczka. Cóż, czy smaczna?

zjadłaś skórę z tój bułeczki, a dla mnie tylko miękisz zostawiłaś. Tak zawsze i niania robiła na okręcie.

Rozpłakałam się, jak małe dziecko. Było to szaleństwo, bo on przecież nie mógł wiedzieć pra-

wdy, nie byłam jednak w stanie zapanować nad sobą. Biedny chłopczyzna przysunął się do mnie, obejmował mię rączkami, zaglądał mi w oczy, nie przeproszał, a ja tego nie wymagałam od niego, ale widocznie starał się zatrzeć wrażenie nierozważnych słów swoich. Nakoniec przełknąwszy ostatnią okruszynę bułki, zaczął mię upewniać, że miększy był wyborny i chętnie zjadłby jeszcze kawałekzek takiego samego.

— Niema już więcej, Janku. Teraz trzeba być cierpliwym i grzecznym, bo najedliśmy się do brze.

Starałam się i w siebie wmawiać cierpliwość, potrzebowałam jej bardzo, chwilami robiło mi się słabo i w oczach mi ciemniało. Noc upływała tymczasem, w końcu mgła zaczęła się po trochu rozsuwać, gwiazdeczka ukazała się nad nami, jedna, potem druga, o jakież nam się prześliczne wydały! Pokazywałam je Jankowi, chłopczyzna ożywił się teraz, posiliwszy się nieco, zaczął szczebiotać, mieszając indyjskie wyrazy do angielskiej mowy, a ja byłam tak wycieńczona, że już tylko słuchać mogłam i półsłówkami odpowiadać, trudno mi było nawet głową poruszyć. Leżałam, jak martwa, wpatrzona w niebo, na którym powoli zabłysły niezliczone gwiazdy, wietrzyk poranny ozębził powietrze, Elias zbliżył się i okrył nas jakąś ciepłą chustką.

Nareszcie gwiazdy poblady, wiatr zrywał się coraz silniejszy i fale wstrząsały co chwila naszym małym statkiem. Zaczął się ruch na pomoście, majtkowie biegali, palili pod kotłem, Jakób wysilał się przy rudlu, wydawał rozkazy, podważano, popychano statek, aż w końcu dał się jakoś sprowadzić z mielizny i spuścić na pełne morze. Chciałam się podnieść, popatrzeć na świat Boży, ale opadłam znowu na twarde moje posłanie i wlepiłam oczy w jedyny przedmiot widzialny dla mnie, w długi ogon naszego statku, wlokący się za nim ociężałe. Potem obróciłam się z wysileniem na drugą stronę i obaczyłam ciemną smugę na krańcu widnokregu, coś nakształt chmur.

— Ach, nigdy już chyba nie dopłyniemy — szepnęłam z ciężkiem westchnieniem i przyknułam oczy, bo mnie zupełnie siły opuściły. A wtém usłyszałam tuż przy sobie głośny, wesoły śmiech Eliasza.

— Jakóbie! — wołał na całe gardło — a patrz no, gdzieśmy to nocowali! Na tej mieliznie, którą zawsze wymijasz tak roztropnie, gdy wypływamy z naszej przystani. A toż my prawie już w domu jesteśmy. Zwawo, chłopcy, dokładajcie węgla pod kocioł, bo mi się jeść chce okrutnie.

Oddechnęłam z głębi duszy, szepcząc dziękczynną modlitwę, uściskałam Janka i powiedziałam

mu, że niezadługo będziemy jedli dobre śniadanie potem położyłam się i nie otwierałam oczu, aż póki jednostajny plusk wody odrzucanej przez koła parowca nie ucichł zupełnie. I wtenczas jednak podnieść się nie mogłam, widziałam jak wuj Ruben wziął Janka na ręce i wyniósł na ląd, ja chciałam biedz za nimi i ruszyć się nie byłam w stanie. Poczciwy Elias z wziął i mnie także na ręce, jak małe dziecko i niósł za wujem aż do poblizkiej gospody, gdzie nam podano śniadanie. Janek zajaadał z wielkim smakiem, ale ja, pomimo straszego głodu z osłabienia zapewne, nie dużo przełknąć mogłam. Położyłam się zaraz w wygodném łóżku i spałam, nie przebudzając się, przez całe dwadzieścia cztery godziny. Na drugi dzień wypitałam w łóżku trochę herbaty i znowu spałam bez przerwy do następnego rana.

(D. c. n.).

PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 16 Października r. 1813. Gdy wieść o klęsce, jakiej doznał cesarz Napoleon pod Moskwą, rozbiegła się po Europie, wnet monarchowie, którzy mu ze strachu ulegali, gdyż uważali go dotychczas za niezwyciężonego, porozumiewać się między sobą zaczęli i knuć spiski tajemne na niego. Niebawem dowiedział się Napoleon, że Prusy i Austria zbroją się gorliwie, że namawiają wszystkich niemieckich książąt, aby razem z nimi zwrócili się przeciw Francji. Nieulękliwy bohater, zebrawszy o ile mógł liczną armią, pośpieszył zajrzeć w oczy grożącemu niebezpieczeństwu.

Dnia 16 Października r. 1813 dwie armie stanęły naprzeciw siebie, francuzka i niemiecka. Napoleon miał zaledwie 16,000 ludzi za sobą, wojska austriackie składały się z 200,000 ludzi, pruskie z 60,000. Zagrały trąby bojowe i wojska uderzyły na siebie; zacięta walka zawrzała, obie strony biły się z zapalem, lecz podobno najdzielniej ze wszystkich bił się książę Józef Poniatowski, uznał to sam Napoleon i po skończonej bitwie mianował go marszałkiem francuzkim w obec całego wojska.

Dumnym, szczęśliwym czuł się cesarz, bo lubo nie rozproszył nieprzyjaciela, jednakże szczerplejszemi o wiele siłami tak się dzielnie opierał, iż trudno było orzec, kto odniósł zwycięstwo pod Lipskiem, czy Francuzi, czy Niemcy. Kiedy jednakże nazajutrz objechał pole zasłane trupami, kiedy policzył straty poniesione, przekonał się, iż drugiej utarczki z wrogiem niepodobna mu będzie stoczyć, tembardziej, iż Niemcom nowe po-

siłki przybyły, postanowił przeto cofnąć się. Kazał więc zwinąć namioty i wydał rozkaz do odwrotu; przed nocą chciał jeszcze odejść, aby nieprzyjaciel nie posadził go o ucieczkę.

Spostrzegłszy, że armia francuzka cofa się, Austriacy i Prusacy uderzyli na nią, lecz odparci zostali. Wojska Napoleona skierowały się ku rzece Elsterze; w pewnym oddaleniu za armią postępował Józef Poniatowski, który miał zasłaniać francuzkie wojska od czyhających na nie wrogów.

Napoleon wydał stanowczy rozkaz, aby, gdy armia przejdzie, most na rzece Elsterze, wznoszący się w pobliżu Lindau, natychmiast wysadzić w powietrze, obawiał się bowiem jeszcze pogoni. Po kilkunastu godzinach marszu, ukazały się nurty Elstery i wojska francuzkie weszły na most. Już ostatni korpus go przekraczał, gdy wтім jeden z wodzów spostrzegł ścigających Prusaków, zwrócił się przeto do stojącego przy minie świeżo zrobionej kaprała i rzekł „przytóż lont”.

Ostatni żołnierz francuzki przekroczył Elstere, kapral przyłożył lont i most wyleciał w powietrze, a właśnie w tej chwili korpusy Dąbrowskiego i Poniatowskiego nadeszły. Położenie ich było straszne: za nimi biegli Prusacy, przed nimi ciągnęła rzeka błotnista, głęboka, o wysokich brzegach. Młody, piękny, odważny książę Józef spojrzawszy na pniące się nurty, spojrzawszy na wroga idącego za nim, wznosił wzrok w niebo i rzekł: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu samemu go oddam”. To powiedziawszy, uderzył konia ostrogą i wskoczył z nim w Elstere, chciał ją wpław przebyć... Niestety! silne były nurty rzeki, a on osłabiony ranami, jakie pod Lipskiem otrzymał, koń był znużony marszem i nie oparł się prądowi wody, porwały ich fale Elstery i zatopiły, Tak zginął bohater z pod Raszyna i Lipska.

Zwłoki Józefa Poniatowskiego, wydobyte z rzeki, odwiezione były do Krakowa, gdzie je wspinałym uczczono pogrzebem; trumna jego stoi do dziś dnia w grobach katedry wawelskiej, obok trumny bohatera z pod Wiednia.

Teresa Jadwiga.

ŻYDZI W MAROKO.

Podróżnik włoski, de Amicis, tak opowiada o wielkim ucisku, jakiego doznają żydzi w barbarzyńskim kraiku Maroko. Mają oni tam swoje dzielnicę, z której nie wolno im wychodzić inaczej, jak boso. Wzbroniono im jest także nabywać nieruchomości lub domy budować w dzielnicach, przez muzułmanów zamieszkałych; nie mają prawa jeździć konno, tylko na osłach lub wielbłądach,

wreszcie nie wolno im uczyć się czytać lub pisać po arabsku, zbliżać się w podróży, choćby podczas największego skwaru do studni, jeżeli znajdują się przy niej wyznawcy Islamu. Przy spotkaniu prawowiernego mahometanina, nie powinni mu patrzeć prosto w oczy, lecz bokiem go omijać i jaknajspieszniej ustępować przed nim z drogi; spotkawszy go zaś jadącego na osło, schodzić ze swojego i postępować dalej piechotą aż do czasu utracenia go z oczu. Nie wolno im nosić fezów czerwonych, tylko czarne. Biedni ci ludzie, pomimo takich prześladowań, których nie wyliczyliśmy tu wszystkich, nie chcą jednak opuszczać ziemi, na której osiedli ich przodkowie. Strój żydów marokańskich, czysto wschodni, jest niezmiernie malowniczy, zachowali też typ charakterystyczny fizjonomii, cerę tylko mają mocno ogorzałą. Kobiety bywają bardzo piękne.

Wrażenia z małej wycieczki

DO GUBERNII WOŁYŃSKIEJ.

Dla Rózi D. od Anulki M. z Berdyczowa.

Z wielką przyjemnością wyjechałam z mamą pięknego dnia jesiennego z dusznego Berdyczowa; w wagonie wyglądałam przez okno i myślałam sobie, że droga, acz nie ma nic nadzwyczajnego, jest jednak bardzo przyjemna i jej skromne krajobrazy, lasy, laski, łąny złocistego zboża, które na Ukrainie najpiękniej się udaje, i wioski w oddali, miliej mi się wydały, niżeli drogi zagranicą; może dla tego, że podług starego przysłowia: wszędzie dobrze a w domu najlepiej. Wtém poціąg stanął, a my znalazłyśmy się u celu naszej podróży, to jest na stacyi Połonne; tam wsiadłyśmy do powozu i pojechałyśmy do bliższej wioski naszych przyjaciół, która nosi piękne imię rusińskie *Bereznój*; rzeczywiście jest tam kilka starych brzoź prześlicznych, a przytém duże lasy stuletnich dębów.

Z Bereznój robiłam częste wycieczki do Połonnego. Kościół tamtejszy bardzo mi się podobał; zewnątrz jest otynkowany na biało, a dachy pomalowane na ciemny ponsowy kolor, po bokach ma dwie kwadratowe wieżyczki. Ponieważ jest na wzgórku, z daleka go widać i bardzo malowniczo się wydaje; wzgórek, na którym kościół stoi, zdaje się być usypany ręką ludzką, gdyż z jednej strony, od rzeki, podparty jest bardzo starym murem; wewnątrz kościół cały jest ozdobiony freskami nie bardzo dobrego pędzla, ładniejszy byłoby, gdyby ściany były białe.

Co do miasteczka, stanowi ono dziwne przeciwień-

stwo z malowniczością swego położenia, gdyż samo jest tak błotniste, że nigdy prawie nie wysycha; oblewa je piękna rzeczka *Chomor*, dopływ *Słucz*.

Zrobiliśmy także wycieczkę do Szepetówki kołmi; droga była bardzo przyjemna, choć nie zawsze wygodna; jechałyśmy nad linią kolei żelaznej i widziałyśmy pociąg, który zawsze wywiera na mnie dziwne wrażenie, gdy jestem wśród pola; myślałam sobie, że dawniejszy sposób podróżowania był daleko przyjemniejszy, niż teraźniejsze przenoszenie się z miejsca na miejsce, wśród tłumu ludzi obojętnych, a często niemiłych, choć znowu ten nowożytny wynalazek jest bardzo potrzebny, gdy idzie o pośpiech. Jechałyśmy przez kilka wiosek i przez miasteczko Sudyłków, gdzie są piękne zwaliska zamku Grocholskich. Na drugi dzień, była to niedziela, poszłyśmy więc do kościoła, kościółek ten jest maleńki, otoczony ogródkiem, także biały i na wzgórku, jak kościół w Połonném; bardzo miłutko wygląda. Szepetówka jestto miejscowość kąpielowa, w której w tym roku bardzo mało osób gościło.

Zwiedziłyśmy fabrykę cukrową, ale niestety nie była w ruchu i nie prawie nie zrozumiałam z ogromnej ilości olbrzymich maszyn, które tam widziałam i nie mogłabym opowiedzieć, jak się cukier robi.

Zwiedziłam jeszcze dwie fabryki (w tych okolicach znajduje się dużo rękodzielni); będąc w papierni w Ponince, widziałam najprzód, jak słoma się kraje na sieczkę, potem, jak się ta sieczka gotuje na rodzaj ciasta bardzo białego w ogromnych kotłach, i jak po różnych innych manipulacjach wyjmują już gotowy gruby papier do owijania, gdyż taki się tylko w Ponince wyrabia. Teraz budują nowy gmach na fabrykę papieru listowego.

Wieś Poninka jest prześlicznie położona; brzegi *Chomoru* są tu skaliste i obrosłe ładnymi lasami; wszyscy, co widzieli te brzegi, porównują je do krajobrazów tatrzańskich. Trzecia rękodzielnia, którą widziałam, była to fabryka porcelany w Baranówce. Gdy jechałam do tego miasteczka piękną drogą, ciągnącą się przez lasy, nieco przerezedzone, ale wspaniałe jeszcze, uderzył mię widok ogromnego głazu w miejscowości, gdzie kamieni zupełnie niema, nad rzeką *Słucz*; do tego głazu jest przywiązana legenda ludowa, mianowicie, że dyabeł robił most przez *Słucz*, a gdy kur zapał, nie mógł go dokończyć i rzucił kamień na brzegu. Takich legend na Wołyniu dużo słyszeć można.

Fabryka Baranowiecka istnieje prawie od stu lat i zawsze w rękach tej samej rodziny i z temi samymi przywilejami. Są tam olbrzymie piece, które się codzień napełniają świeżymi wyrobami i zamurują; taki piec potrzebuje na dobę do

dwunastu stosów paliwa; bardzo jest zabawnie widzieć, jak zgrabni garncarze, za pomocą prostych narzędzi, w mgnieniu oka wyrobią jakąś ozdobną sztukę, a także jak bardzo szybko malują na talerzach różne bukieciki; ale każdy robotnik ma swój kolor, tak, że jeden talerz przejdzie przez kilkanaście rąk, nim zostanie zupełnie wykonany.

Gdy już tak rozpisałam się o przemyśle tutejszym, dodam, że na stacyi Połonne (przez którą mi wracać wypadało) sprzedają różne zgrabnie toczone z drzewa przedmiociki; jestto wyrób miejscowy.

W ogóle więc można powiedzieć o Wołyniu, że jest bardzo zajmujący, tak pracowitością mieszkańców, jak malowniczością swych krajobrazów.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

LXVIII.

Tajemnica odsłania się.

— Szkoda wielka, że nie mamy z sobą *Konga* i *Szukaja* — mówił *William*, gdy karawana zwolna przebywała strumień. — Nie o starego zdrajcę mi idzie, ale o to, że bez niego i bez *Szukaja* trudno będzie odnaleźć trop naszych giraf.

— Zdaje mi się, że mała jest nadzieja, abyśmy te nasze zwierzęta odnaleźli — rzekł brat. — Znajdujemy się w kraju zamieszkałym, więc ludzie nie dadzą girafom ani chwili spokoju. Będą je porywać, aż je zabiją.

— Myślę ja i o tém — mruknął *William* — a jednak nie tracę jeszcze nadziei. Strata będzie mniej bolesną dla mnie, jeżeli się przekonam, że nikt nie otrzyma nagrody, o którą się ubiegam. Ale jeżeli ją otrzyma ten brat, o którym wspominał boer, nie przeżyję tego!

Dziwne gesta i wykrzykniki *Facetana* zwróciły w tej chwili ogólną uwagę. Wymawiał on oderwane wyrazy, wymachiwał rękami, jak miał zwyczaj w gwałtowném wzruszeniu. Nareszcie nie mogąc wytrzymać, zawołał, zbliżając się do *William*a:

— Co pan przez to chcesz powiedzieć, panie? Co to znaczy, co wspominasz o bracie tego *Holendra*?

— Ja sam zaledwie sobie cośkolwiek o tém przypominam — odpowiedział *William*. — Mówiłem o polowaniu na girafy i o nagrodzie, o którą się ubiegam. Dla czego pytasz?

— Czy tamten brat pojechał na północ tak, jak i my?

— Tak; boer nam tak powiedział.

— A kiedy on pojechał?

— Przed siedmiu miesiącami.

— Czemu ja o tém wprzód nie wiedziałem?

William nie odpowiedział na to ostatnie pytanie, i pozostawił Facetana zagłębnionego w myślach.

W kilka minut później, Buszman rzekł znowu:

— Panie Williamie! mam panu coś do powiedzenia. Kongo nie jest głupim szaleńcem, ale za to Facetan jest bydlęciem; to więcej niż pewne.

— O czymże ty chcesz mówić? — zapytał William.

— A o tém — rzekł Buszman — że brat boera powrócił z wyprawy swojej bez giraf, a teraz... on już ma girafy!

Nagły promień światła zabłysł w tej chwili w umyśle Hansa, który słuchał tej rozmowy. Postępowanie Konga stało się dlań zrozumiałem.

— Zatrzymano się i otoczono Facetana, ale nie tak łatwo było otrzymać od niego proste i porządne opowiadanie. Dopiero po stu pytaniach i tyluż odpowiedziach dowiedziano się, że w chatce, w której spojono Konga, Facetana i Makalolosów, znajdował się także Hotentot, który tylko co powrócił z podróży na północ. Facetan wyrozumiał to z kilku słów, wymówionych przez tego człowieka pod wpływem trunku. W ciągu wieczora Hotentota pijanego wywołano z chaty. Dowiedziawszy się teraz, że boer miał brata, polującego na girafy, Facetan zrozumiał, że Hotentot musiał należeć do tej właśnie wyprawy myśliwskiej, że ta wyprawa nie udała się, i że następnie brat boera ukradł girafy Williama.

Im dłużej się nad tém zastanawiano, tém prawdopodobniejszém wydało się wszystkim to przypuszczenie. Zapewne Kongo powziął także podejrzenie i pozostał, aby rzecz rozjaśnić. Nie zwierzył się nikomu, nie będąc pewnym swych domysłów.

Postępując zaś względem swego pana tak, jak to uczynił w obec boera, Kongo miał pewnie na celu uspić jego baczność i nieufność, aby się tém swobodniej oddać poszukiwaniom. Wszystkie te przypuszczenia były bardzo prawdopodobne i zgadzały się z wrodzoną chytrością Kafra. Wyrozumiawszy w ten sposób Konga, William doznał dopiero ulgi prawdziwej.

— Gdy go widziałem raz ostatni — rzekł — uważałem, że w jego mowie i wyrazie twarzy było coś sprzecznego. Podobno wszyscy sprawiliśmy się, jak gapiowate niedorostki. Wracam natychmiast do tej osady. Rozmówię się z Kongiem. On mi wszystko powie, jeżeli tylko potrafię uniknąć przytém obecności boera.

— Wiecie, co ja myślę! — zawołał Henryk. — Ci dwaj ludzie, których spotkaliśmy, goniących za zbłąkanemi końmi, i którzy upewnili nas, że widzieli girafy na południu. skłamali! Nieszczerość z oczu ich patrzała. Teraz dopiero widzę to jasno. Daliśmy się zdurzyć, jak małe dzieci. Ci ludzie, to są bracia boera, i to oni właśnie nas okpili!

— Tak — rzekł Hans — a pomógł im boer Ormon. Otóż przyczyna jego uprzejmiej gościnności!

Teraz wszyscy byli najzupełniej przekonani, że girafy zostały skradzione.

Nie mówiąc ani słowa więcej, William zawrócił konia ku siedzibie Ormona. Spotkał go na podwórzu przed domem. Zbliżając się do niego, młodzieniec spostrzegł na jego twarzy zdziwienie, a potem kłopotliwy niepokój.

— Przybywam rozmówić się z moim dawnym służącym — powiedział William. — Służył on u mnie tak długo, że przykro mi rozłączać się z nim dla drobnostki.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Ormon — zobaczysz się pan z nim, gdy powróci. Poszedł po woły. Jeżeli pan chcesz, możesz zabrać go z sobą.

Słońce zachodziło, Kongo powinien był wrócić nie długo; William wyjechał z wioski w nadziei, że spotka go w polu. Wkrótce ujrzał dużą gromadę rogatego bydła, idącą równiną pod opieką Konga i kilku Hotentotów. W obec tych świadków Kafr tak serdecznie zajmował się wołami i tak niechętnie spoglądał na swego dawnego pana, że ten znów pomyślał:

— Omyliliśmy się w naszych przypuszczeniach, Kongo zdradził mię rzeczywiście.

I już miał odjechać, lecz Kongo szepnął mu w chwili, gdy Hotentoci, wyprzedziwszy go trochę, zajęli się żwawą gadaniną między sobą:

— Wracaj do swego obozowiska, panie Williamie! Ja tam będę jutro rano.

William zadrzał z radości. Te kilka wyrazów starczyło, aby mu dowieść, że jego Kafr był mu zawsze wiernym, że działał dla dobra sprawy swego pana, i że nie wszystko było jeszcze straconem.

William powrócił do towarzyszy pełen nadziei i radości.

LXIX.

Zbytek ostrożności bywa szkodliwy.

Zniknięcie giraf dotknęło Konga głęboko. Sumienie szeptało mu, że zaniedbał obowiązku, że był najwinniejszym ze wszystkich, i dla tego postanowił czynić, co tylko mógł, dla odnalezienia

zwierząt utraconych. Obejrzawszy wyłom w ogrodzeniu, wątpił, aby to one zrobić go mogły. Upadające słupy byłyby narobiły hałasu, a ten musiałby być słyszany w chatce, gdzie on się znajdował, oddalonej zaledwo o dziesięć metrów od szopy z girafami. Słupy były niewątpliwie wyrwane rękami ludzkiemi. Tak myślał Kongo, ale nie był pewnym swych podejrzeń. Inna okoliczność je potwierdziła. Przypomniał sobie, jak ów Hotentot na wpeł upojony powiedział, iż wraca z północy, gdzie widział jak polowano na girafy i jak je zabijano. A potem Hotentot ten wyszedł z chatki, wywołany przez kogoś, mówiącego złą angielszczyzną. Ten głos nie był głosem boera Ormona, a przecież nie widać było innego białego człowieka w osadzie. Prócz tego, że stajni znikło kilka koni osiodłanych. Wszystkie te okoliczności skłoniły Konga do tego, by pozostać w osadzie i czuwać. Potrzeba było osłonić podstęp pozoraw i dla tego przyjął służbę u boera Ormona.

Co chwila przekonywał się bardziej, że jego podejrzenia były uzasadnione. Nazajutrz, gdy młodzi myśliwi posilali się u stołu boera, po powrocie z daremnej wycieczki, Kongo widział, jak boer wyprawiał śpiesznie w drogę Hotentota. Wkrótce przybyło dwóch białych, którzy zdawali się być tu u siebie w domu. Kongo pomyślał, że ci ludzie musieli się znajdować w osadzie w czasie zniknięcia giraf, i że je ukradli. Widział potem, jak odjechali w tym samym kierunku, z którego przybyli, wybrani jak na polowanie lub daleką wyprawę. Z razu chciał ich śledzić. Po namyśle wszakże odstąpił od tego zamiaru, aby nie budzić nieufności boera. Ale w nocy wymknął się z chaty, i o pierwszym brzasku dziennym znalazł tropy, które po dziesięciu milach drogi zaprowadziły go do wzgórz i wąwozów głębokich. Z wierzchołka wzgórza ujrzał w głębi wąwozu wznoszącą się smugę dymu. Położył kapelusz na ziemi, kazał go pilnować Szukajowi, a sam pełzając zbliżył się ku owemu miejscu i ujrzał ognisko rozpalone u stóp drzew czułkowych. Para wysmukłych zwierząt, przywiązanych do drzew, przekonała go, że ci, którzy rozpalili ten ogień, byli nie myśliwcami, lecz złodziejami. Kongo doskonale poznał parkę giraf, którą poganiał przed sobą przez kilkaset mil.

Przeciw jego oczekiwaniu, jeden jedyny człowiek czuwał nad girafami. Nie był to żaden z dwóch białych, których Kongo widział wczoraj u boera Ormona. Biali, których ściagał, musieli zapewne odwiedzić to małe obozowisko i odjechać natychmiast. Ale mało go to obchodziło. Odnalazł girafy, co było najważniejsze, reszta należała do jego panów. Przypatrzył się doskonale całej okolicy i odszedł zwolna.

Jeszcze ani trzydziestu kroków nie uszedł, gdy usłyszał wystrzał za sobą, i przenikliwe żalonne skomlenie Szukaja. Dwóch jeźdźców ukazało się w pośród krzaków, wieńczących pagórek poblizki.

Jedno spojrzenie dostatecznym było dla Kafra, by poznał w dwóch przybyszach owych nieznanomych, za którymi śledził od wczoraj rana. Kongo skrył się za krzaki, ale głośny okrzyk dał znać, że go odkryto. Mimo całej swej zwinności, małą miał nadzieję ucieczki. Sprobował jednak. Na stoku gór wyprzedzał jeźdźców, ale na równinie jeźdźcy dopędzili go wkrótce i gonitwa zakończyła się silnym uderzeniem kolby. Kongo padł jak nieżywy, twarzą do ziemi.

LXX.

Kongo uwięziony.

Jeźdźcy rzucili się ku niemu, krzycząc w niebogłosy:

— No i cóż? stanąłeś? czemu nie uciekasz dalej? — zapytał szyderczo ten, który go uderzył kolbą. — Czemu nie biegniesz donieść tym młodym błaznom myśliwym, gdzie są ich girafy? Przecież masz nogi całe i zdrowe?

Dwaj ludzie, naigrywający się w ten sposób z Konga nawpół nieprzytomnego, byli ciż sami, których William, Henryk i Arend spotkali wczoraj.

Jeden był bratem rodzonym Ormona, drugi jego szwagrem. Obaj oni długo mieszkali na pograńczu kolonij, już to walcząc z Kaframami, kradnąc ich woły i konie, już to handlując z krajowcami, od których starali się wyłudzać jak najmniejszym kosztem kość słoniową i pióra strusie. Wróciwszy niedawno z daremnego polowania na girafy, przedsiębranego w widokach nagrody, ofiarowanej przez konsula holenderskiego, nagle spotkali w osadzie swego krewnego zwierzęta, za którymi uganiali się napróżno, i natychmiast umyślili je sobie przywłaszczyć. Zamierzali trzymać je w ukryciu w górach, dopóki myśliwi się nie oddalą, zaprzestawszy poszukiwania zaginionych zwierząt. Wtedy mogliby już byli poprowadzić girafy do miasta Kap bez wiedzy ich rzeczywistych właścicieli. Nieszczęściem dla Konga, złodzieje jeździli tegoż ranka po zapasy i powrócili na czas właśnie, aby go dostrzedz śledzącego ukryte girafy.

— To jest ów łotr, przyjęty do służby przez Ormona — rzekł ten, który powalił Konga kolbą — Już ja radziłem memu kochanemu szwagrowi, aby go odprawił. On nie chciał, utrzymując, że murzyn nienawidzi swych dawnych panów. Cóż z nim uczynimy teraz, kiedy go mamy w rękach?

— Zabić go — wykrzyknął drugi, rodzony

brat Ormona. Nie można pozwalać, aby się dostał na powrót do swych panów, bo niezawodnie nas okradną.

— Bardzo być może. Są ludzie, którzy nie nie szanują! Ale ja go już nawpół zamordowałem. Teraz ty z kolei skończ z nim co przędzję.

— Nie, Szemsie, za dobrze zaczęłeś, abym ja ci potrzebował pomagać. Dokończ sam tego dzieła.

Dwaj ci ludzie bez czci i wiary gotowi byli na wszelkie bezprawia, a przecież żaden nie śmiał zadać Kongowi ostatecznego ciosu. Po namyśle, przestali na tém, że postawiwszy go na nogi, związali mu ręce na plecach i pognali przed sobą do swego obozowiska. Kongo przyszedł tymczasem do siebie po otrzymanym ciosie i zaczął rozmyślać nad smutnym swoim położeniem. Czuł, że mu śmierć niechybna zagrażała. Nie miał nadziei się wymknąć, a pomocy nie mógł się żadnej spodziewać od panów, czekających na niego prawdopodobnie daleko od tego miejsca.

— Cóż to znów za zwierzyzna? — zapytał ten, który pilnował giraf i ogniska.

— Ty, jako kucharz, przyprawisz nam ją na obiad; — rzekł ten, którego zwano Szemsem.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał pierwszy.

— Po prostu to, że schwytailiśmy szpiega. Teraz nie mamy się już czego lękać; nikt nas nie wyda.

Po dłużej naradzie, trzej nędznicy uznali, że Kongo musi być koniecznie zabitym. Jedna tylko okoliczność ich trapiła. Czy Kafr śledził ich z własnego popędu, lub też z rozkazu panów? W pierwszym razie śmierć Kafra stanowiła rękojmią bezpieczeństwa, ale w drugim sprawa była zawiłkana. Aby się upewnić, brat Ormona siadł na koń i pojechał do wioski brata. Gdy odjechał, dwaj inni przywiązali Konga mocno do drzewa i dla zabicia czasu zaczęli grać w karty.

Parę godzin upłynęło, Kongo cierpiał fizycznie i moralnie. Skrępowano go tak okrutnie, że rzemienie wpiły mu się w ciało. Oczekiwał śmierci nieuniknionej. Ale śmierci on się nie lękał. Najbardziej dręczyła go myśl, że pan jego utraci na zawsze swe girafy. Żałował teraz, że nie zwierzył Williamowi swych podejrzeń. Z powodu jego milczenia, William nie będzie mógł ani giraf odzyskać, ani jemu samemu dać pomocy. Kongo działał w najlepszej wierze, ale się pomylił w swych rachubach.

Po południu brat Ormona powrócił do obozowiska.

— No! cóż nowego? — zapytał Szems.

— Wszystko dobrze. Nie wiedzą nic. Mój brat czuwa. Stracili trop, zabierają się do odjazdu.

— Czy tylko Ormon pewny jest, że nie było porozumienia między nimi i Kafrem?

— Jeden z nich wrócił do wioski, ale nie nie wyszedł, mój brat nie spuścił go z oka.

— Mniejsza o to. Ale czemuż nie odjeżdżają? Zawadzają nam tu pod bokiem.

— Powiadam ci, że wszystko dobrze idzie, Szemsie. Tylko trzeba się pozbyć szpiega.. Cóż z nim pocznemy?

— Wpakuj mu kulkę w łeb! — rzekł ten, który pilnował giraf.

— Tak, czy inaczej, trzeba aby zginął! — odrzekł Szems — któryż z nas tego dokona? Trzeba było z nim skończyć w chwili, gdy uciekał. Bo teraz zabijać go tak z zimną krwią!... to nieprzyjemna rzecz!...

Jakkolwiek wielcy to byli nędznicy nie śmieli przecież popełnić zbrodni. A jednak Kongo musiał umierać. Po długich naradach, bratu Ormona przyszła świetna myśl do głowy. Poradził, aby zaprowadzić więźnia nad pobliskie jezioro, przywiązać go do drzewa i pozostawić tak na całą noc.

— Widziałem tam dzisiaj ślady lwa — rzekł z piekielnym wyrazem twarzy — gotów jestem pójść o zakład, że jutro rano zamiast murzyna znajdziemy nad brzegiem jeziora tylko parę kości zakrwawionych.

Pomysł ten przyjęto z zapalem. Po zachodzie słońca rozluźniono więzy Kafra, sprowadzono go w dolinę i mocno przywiązano do pnia nad brzegiem jeziora. Zakneblowano mu przytém usta przez nadmiar ostrożności.

(d. c. n.).

Czarodziejska sztuczka.

Turek, lama, szyny, co.

Z tych czterech wyrazów wydobyć mieszkanie owadów, szkodne zwierzątka i ciemności, a zostanie ładny powóz.

Łamigłówa zgłoskowa.

(Wandzi K z Czabanówki).

Z następujących zgłosek: ar—ba—cój—cki—e—gła—gna—hia—i—i—i—i—ja—ki—kwa—kret—le—lon—mak—na—na—ne—par—rio—ro—se—stek—tur—zaw—zy—ułożyć 13 wyrazów: 1. Roślina. 2. Imię męskie. 3. Rzeka w Ameryce. 4. Wyspa w Azji. 5. Nazwisko polskie. 6. Ochrona palca. 7. Miasto w Ameryce południowej. 8. Imię zdrobniałe. 9. Imię biblijne. 10. Rzeczy używane w chorobie. 11. Rzeka we Francji. 12. Zwierzątko. 13. Przedmiot potrzebny do szycia. Początkowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą imię i nazwisko pisarza polskiego z XVI wieku, końcowe, w tym samym kierunku, tytuł jego dzieła.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 39-go.

Zadania konikowego:

Świat odbija moja dusza,
 Jak zielony brzeg krynica;
 Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
 Wszystko tkliwie ją zachwyca.
 Łza na krótko oko ciemni,
 Częściej płoną w niem rozkosze;
 Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
 Co niebieskie, w niebo wznoszę...
 „Śpiew poety” B. Zaleskiego.

ŁamigłóWKI gŁoskowEj:

Oko pańskie konia tuczy.

Odpowiedzi od Redakcyi

Kaziowi S. w Żywołowce. Żądany Nr. wysłaliśmy potwórnice, prosimy o wcześniejsze zawiadomienie w razie zaginięcia Nrów na pocztę; zaraz po otrzymaniu następnego należy się upomnieć o zatracony. ŁamigłóWka bardzo dobra i będzie drukowana, prosimy tylko wszystkich kochanych współpracowników, aby mieli troszkę cierpliwości, jeśli nadesłana łamigłóWka nie ukazuje się zaraz w najbliższych Nrach, bo musimy je po kolei umieszczać, ale na dobre zawsze kolej przyjdzie

Maryni S. Liścik bardzo ładnie napisany, bardzo miły, radzibyśmy podobne odbierać jaknajczęściej. Czekamy na przyrzeczony opis, a jeśli będzie stosowny, chętnie go wydrukujemy. Lepiej, ażeby nie był zbyt długi.

Władziowi Z. Powieści historycznych dłuższych mamy kilka w pogotowiu; ale w roku bieżącym rozpocząć ich nie możemy, bo gdyby się nie skończyły, nowi prenumeratorzy w roku przyszłym musieliby czytać dokończenie bez początku, a to nie jest wcale rzecz przyjemna. Przesyłanie zaś początku, drukowanego w kilkunastu Nrach Pisma, nam znowu dużo kłopotu przyczynia. Dla tego też chcemy w tym roku pokończyć wszystkie dłuższe powieści i opowiadania.

Zosi L. w Malinowie. Nigdy się nie gniewamy, gdy kochani czytelnicy nasi donoszą nam z całą szczerością, co im się więcej podoba w Piśmie, a co mniej. Przeciwnie, potrzebujemy o tém wiedzieć, gdyż pragniemy bardzo, aby się podobało wszystko. O roślinach nie wypada pisać zimą, na wiosnę będziemy znów podawali pogadanki botaniczne, a teraz właściwiej jest opowiadać o minerałach. Mamy już w pogotowiu cały szereg takich pogadań o różnych kamieniach i ziemiach.

Ludwisiowi R. Wyjdzie w tym roku kilka nowych podróży; z dawniejszych radzimy Mayne-Reida, każda książka tego autora jest zajmująca i pouczająca. Wszystkich tłumaczonych na język polski wymieniam tu nie będziemy, proszę nam tylko donieść, które już są czytane, a wybieramy inne.

Notatki bibliograficzne.

Pamiętnik fizyograficzny. Tom III za rok 1883. Zawiera prace następujących autorów:

(Meteorologia i hydrografia) Ap. Pietkiewicza, I. Jędrzejewicza. W. Choroszewskiego. W. Wróblewskiego.

(Geologia i chemia) J. Trejdosiewicza. I. B. Puscha.

(Botanika i zoologia) K. Łapczyńskiego, K. Cybulskiego, M. Twardowskiej, F. Karo, B. Ejchlera, A. Wałęckiego, A. Ślósarskiego, F. Osterloffa. (Antropologia i etnografia) I. Karłowicza, M. Fedorowskiego, Kozłowskiego, Z. Glogera, L. Dudrewicza, J. Zawiszy (Miscelanea) W. Choroszewskiego. A. Michalskiego, A. Ślósarskiego,

Nr. 19 z r. b. pisma technicznego popularnego „Inżynierzy i Budownictwa” wyszedł z druku i zawiera:

J. Łubieński. — Kilka słów o użyciu żywych motorów to jest zastosowaniu siły muskularnej ludzi i zwierząt do wykonania pewnej siły mechanicznej oraz o zastąpieniu ich maszynami.

E. K. Martynowski. — Charakterystyka stylów. (c. d.). Styl Assyryjsko-Babiloński.

Dr. J. Polak. — O konserwowaniu mięsa, podług Dra Quittel'a.

Stajnie.

Dr. J. Polak. — Wystawa higieniczna w Berlinie. Z higieny szkół oraz o niektórych sprzętach dla dzieci.

H. Zieliński. — Prasy do siana.

St. Szafarkiewicz. — Z Wystawy elektrycznej w Wiedniu.

Różności techniczne.

Skrzynka do zapytań i odpowiedzi.

Wentylacja obór.

Kieszonka mechaniczna.

Ogłoszenia.

Nr. 19. z r. b. pisma popularnego „Dodatku dla Ślusarzy i Mechaników” wyszedł z druku i zawiera:

Treść: Od Redakcyi. — Dr. A. Weinberg: O emaljowaniu żelaza (c. d.). — Młynek do piasku fornierskiego. — Józef Łubieński inż.: — Młot sprężynowy ręczny. — J. Łubieński inż.: Pogadanki naukowe popularne dla pań majstrów ślusarzy, część druga (c. d.). — Wypróbowanie oleju do smarowania. — Różności techniczne. — Skrzynka do zapytań i odpowiedzi. — Ogłoszenia. — Opis części składowych maszyn przez A. Graffa inż. — Wiązadła, Ark. 1.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



ROZMÓWKA.

ADAŚ. Patrzno, siostrzyczko, jak wróbelki siedzą cichutko na gałązkach, takie zasmuczone, pewnie dla tego, że się lato już kończy. One biedne wiedzą, że zimą nie będą miały co jeść, bo zimą niema nigdzie ziarenek, ani robaczków, ani muszek.

ZOSIA. A to czemuż nie odlatują na zimę do cieplejszych krajów, tak, jak jaskółki?

ADAŚ. Bo może im żal porzucać gniazdeczka, może wolą głód i zimno znosić, byle nie lecieć do obcego kraju. A pamiętasz, co opowiadał wczoraj wujaszek o tych Eskimosach, co to mieszkają na północy, w zimnym

bardzo kraju, gdzie nic nie rośnie, prawie ciągle śnieg pada i woda zamarza? Oni jednak nie chcą ztamtąd odjeżdżać do cieplejszych krajów, bo kochają rodzinną swoją ziemię.

ZOSIA. To prawda; ja nawet bardzo polubiłam za to tych Eskimosów, i lubię także wróbelki. Adasiu, trzeba będzie o nich pamiętać, jak przyjdzie zima i dawać im jeść. Moznaby Mamy poprosić, żeby nam dała trochę ziarenek i zbierać kawałki chleba, bułeczki, co zostają od stołu i posypywać im okruszyny przed oknami.

ADAŚ. O, dobrze, siostruniu. Ja mam wyborne pudełko tekturowe, będziemy tam żywność dla biednych ptasząt składali. Bądźcie spokojne, wróbelki, nie damy wam zginąć z głodu.

ZOSIA. A trzeba poprosić, żeby w „Wieczorach Rodzinnych“ o tém napisali, żeby i inne dzieci pamiętały o ptaszętach w zimie.

Bańka mydlana.

— Mateczko kochana!
Patrz! bańka mydlana,
O! jaka prześliczna, mój Boże!
W niej barwy tęczone,
Niebieskie, różowe,
Napatrzeć się oko nie może.
Ku górze już leci,
Jak gwiazdka, tak świeci,
O! cudna, o piękna banieczka!
Wtém... bańka trysnęła
I z oczu zniknęła.
— Gdzież ona? — zapyta dziewczeczka.
Jam tak się cieszyła...
A teraz?
— O miła!

Mateczka jęj zaraz tłumaczy:
Tak krótko też gości
I chwila radości,
Gdy do nas zawitać tu raczy.

Więc pomnij o! dziecię,
 Że radość na świecie
 To sprawia, co bańka na tobie;
 Zabłyśnię, zabawi,
 A potem zostawi
 Złudzenie i smutek po sobie!
Helenu Bojarska.

PUDEŁKO CUKIERKÓW

KOMEDYJKA W I AKCIE.

(Naśladowana).

(Dalszy ciąg).

SCENA VII.

ADELICIA — WŁADZIO.

WŁADZIO.

Jak prędko odeszła!

ADELICIA.

Zgadłam przyczynę!

WŁADZIO.

Powiedz, dla czego?

ADELICIA.

Bo widzi, że niema dla mnie ratunku, a mo-
 że dla tego, że mną pogardza. Ach, to okropnie!
(płacze).

WŁADZIO.

Nie uwierzysz, jak mi przykro, Adelciu, że
 płaczesz przezemnie; ale nie martw się tak bar-
 dzo, chodź ze mną do ogródka, tam lepiej ci
 będzie... Żeby to można jakoś naprawić...

ADELICIA.

Niepodobna! *(odchodzi).*

SCENA VIII.

MARYNIA *(wchodzi na palcach i ma coś pod fartuszkim).*

Chwała Bogu! Poszli do ogródka! Dobrze,
 zem sama; będę mogła postawić na miejsce
 próżnego pudełka moje, pełne cukierków, któ-
 re także dostałam od Mamy na imieniny. *(Za-
 mienia pudełka).* A teraz pójdę uprzedzić o tém
 Adelcię i pocieszyć ją... Ale... co widzę... cio-
 cia Wolińska! Chowajmy pudełko i uciekajmy
 czempredź! *(Wybiega).*

SCENA IX.

PANI WOLIŃSKA.

Co to, niema nikogo? Gdzie Adelcia? A...
 widzę ją w ogródku z Władziem. *(Otwiera
 okno i woła).* Adelciu, Adelciu!

ADELICIA *(z ogródka).*

Idę, Mamo!

PANI WOLIŃSKA.

Będzie tu zaraz. Boże jak ja kocham to
 dziecko! oddalić się na chwilę od niej nie mo-
 gę, tak mi zaraz tęskno... Ale otóż i ona!

SCENA X.

P. WOLIŃSKA. ADELICIA, później WŁADZIO
 i MARYNIA.

ADELICIA *(cicho do Władzia).*

Drzę cała; ręce mi się trzęsą ze strachu.

WŁADZIO.

Co tam, nie bój się!

ADELICIA.

Jestem, Mamo!

MARYNIA *(wchodzi z drugiej strony).*

Adelcia i ciocia razem; jakże uprzedzić
 Adelcię o zamianie pudełek?

P. WOLIŃSKA *(do Maryni).*

Jak się masz, Maryniu *(Marynia całuje ją
 w rękę, do Adelci).* Chciałabym wiedzieć, moja
 Adelciu, coś robiła podczas mojej nieobecno-
 ści.

ADELICIA *(zakłopotana).*

Ja?...

P. WOLIŃSKA.

Pilnie się uczyłaś?... Nic nie odpowiadasz?...
 Prawda, Władzio tu jest. Cóż, czy dobrzeście
 się bawili?

WŁADZIO.

Dobrze. *(Po chwili do Adelci).* Uskokóże
 się!

P. WOLIŃSKA.

Mam nadzieję, że byłaś posłuszną i nie
 otwierałaś pudełka z cukierkami.

ADELICIA *(na stronie).*

Boże! *(do p. Wolińskiej).* N... i... e!

P. WOLIŃSKA *(do siebie).*

Ręczę, że już cukierków niema *(do Adelci)*
 Dajno mi pudełko.

ADELICIA *(na stronie).*

Jestem zgubiona! *(do matki).* Czy Mama
 każe?

P. WOLIŃSKA

Tak, moje dziecko.

WŁADZIO *(do siebie).*

Oj, będzie źle!

ADELICIA *(wchodzi na krzesło i mówi do siebie).*

Boże zlituj się nademną!

P. WOLIŃSKA *(na stronie).*

Niezawodnie próżnei *(do Adelci która stoi
 ciągle na krześle).* Śpiesz się, Adelciu! *(do siebie
 otwierając pudełko).* Co widę, pełne!

WŁADZIO *(na stronie).*

A to rzecz szczególna!

P. WOLIŃSKA.

Byłaś posłuszną, Adelciu. Cukierki nie-
tknięte, zasłużyłaś na pochwałę, jestem z ciebie
niezmiernie zadowolona. Jednak... nie rozu-
miałem, dla czego byłaś tak zmieszana przed
mnie.

(D. n.).

PRZESTROGA.

— Moja droga laleczko, to bardzo nieładnie,
stać tak ciągle przed lustrem, i wieczór, i z rana,
Kto na cię tylko spojrzy, to zaraz odgadnie,
Żeś ty tylko, ot sobie, lalka malowana.

Z. Morawska.

Dobra Łyska i wdzięczna owca.

Franuś przyjechał na lato do wuja na wieś,
a że był grzecznym chłopczykiem, więc wuj,
wziąwszy go za rękę, pozwalał mu wszędzie
z sobą chodzić po całym gospodarstwie, a po-
czciwa podwórzowa Łyska chodziła znów nie-
odstępnie za Franusiem, bo w wielkiej z nim
była przyjaźni.

Zaszli tak raz w pole do owiec. Stanęli
i patrzą, a owce, zobaczywszy Łyskę, nuż tupać
na nią z gniewu, jak to one robią na psa,
a przytém cofać się, bo owca zawsze się psa
trochę boi, choć na niego tupie. Łyska także
szczękała na owce i przyskakiwała niby do
nich, szarpiąc po trochu, ale to wszystko nie
było z wielkiej zawziętości, tylko ze zwyczaju.
A wtém z pomiędzy owiec wyskoczyła młoda
owieczka i przybiegłszy do Łyski, zaczęła się
z nią pieścić, a Łyska nuż łasić się wzajemnie
i aż skomleć z radości i przymilać się owęj
owieczce.

— Co to znaczy, wuju? — zapytał Franuś
zdziwiony — jak żyję nie słyszałem, żeby owce
tak się przyjaźniły z psami!

— Bo też rzadko to bardzo bywa — wuj
odpowie — ale z tą owieczką wyjątkowo tak
jest, a to z tego powodu, że gdy ta owieczka
jeszcze była bardzo a bardzo maleńkiem ja-
gniątkiem, matka jój, stara owca, zapadła na
ciężką chorobę i zginęła. Biedna maleńka, nie
mając już kudłatego futra matki, aby się do
niego przytulić wśród zimy, zaczęła tak drzeć,
że już o mało nie zginęła. Wtém przyszło mi
do głowy, że Łyska ma właśnie swoje małe
pieski także czarne, jak owieczka, i że leży
z nien na sianie w oborze. Zaniosem tedy

tę owieczkę do obory i położyłem ją pomiędzy
psiakami, uważając, co też Łyska powie na te-
go przybysza. Bo omylić się i wziąć ją za
psiaka nie mogła, choćby już tylko dla tego,
że owieczka była sześć razy większa od psiaka.
Bałem się, czy Łyska nie udusi owieczki, gdy
się rozgniewa. A tymczasem pocziwe psisko,
jakby z litości nad młodem marznącym stwo-
rzeniem, przypatrzwszy mu się dobrze, przy-
tuliło je do swoich ciepłych kudłów, i piele-
gnowało tak, jak własne szczenięta, nie pozwa-
lając ruszyć nikomu prócz mnie. Owieczka
odżyła i pozostała przy swojej opiekunce, do-
póki nie wyrosła zupełnie. Wtedy dopiero
wziąłem ją do innych owiec do owczarni, ale
mimo to, ile razy tylko zobaczy się z Łyską,
zawsze się tak ze sobą cieszą, jak w téj chwili.

Wuj przestał mówić i wraz z Franusiem
długo jeszcze przyglądali się z upodobaniem,
jak pocziwa Łyska bawiła się i radowała ze
swoją wdzięczną wychowanką.

JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

Pan Poncet się uklonił, i natychmiast nau-
czyciel i wszystkie dzieci ukloniły się także
uprzejmie, a potém dalej pracowały gorliwie.
Przed każdym z dzieci leżała mała maszynka
do rachowania, bo w Japonii na maszynkach
rachują, leżały także i książki, dzieci uczyły
się czytać, pisać i rachować. Matylda powie-
działa, że takich szkół dużo jest bardzo, bo
każde bez wyjątku dziecko w Japonii musi
umieć czytać, pisać i rachować, a więc wszy-
stkie chodzą do szkół. Tylko dzieci w pół
dzikich Ajnotów wyrastają czasem bez żadnej
nauki.

Wracając do domu, Józia rozmyślała zno-
wu nad tém, jak to będzie z jój własną nau-
ką?... Przecież nie jestem dziką Ajnotką
myślała sobie, więc powinnam się uczyć,
Ale któż mię tu uczyć będzie? Oczywiście
chyba aibo mama, albo pani Poncet, bo pan
Poncet nie ma czasu, ani ojciec.

— A! jak się ma mój kochany nauczyciel!
— zawołała Matylda, wchodząc do domu
i ujrawszy sędziwego pana, rozmawiającego
tam z ojcem i paniami. I pobiegła do niego,
całując go w rękę. Pokazało się, że to był kre-
wny państwa Poncetów, jeszcze dawniej od nich
w Japonii zamieszkały. Był ten pan istotnie

nauczycielem Matyldy i miał także uczyć Józję, i dziś już uczy zapewne. Sędziwy pan Vincent zaraz nazajutrz rozpoczął z panienkami naukę geografii, historii, rysunków, języka angielskiego i rachunków. Był on dawniej nauczycielem na pierwszorzędnej pensyi w Paryżu, zanim losy go do Japonii zagnały, jest bardzo dobry, jak pisze Józia, ale przytém troszeczkę nudziarz i surowy taki, że Józia z początku prawie się go bała, dopóki nie przekonała się, iż jest bardzo dobrym naprawdę, jak o tém mówiła Matylda. Zaraz już umawiając się z rodzicami o uczenie Józji, położył to za warunek, żeby ucząca się od niego panienka nie była na pewien czas wcale odrywana od nauki.

— Żadnych odwiedzin, żadnych przejażdżek, żadnych przerw, bo nauka przerywana na nic się nie zda! — mówił pan Vincent — codziennie dla zdrowia pobiegać po ogródku przez kilka godzin, to dosyć! Tak musi być przez cały kwartał, a po kwartale, przez który się już dobrze poduczmy w pewnym zakresie naszych nauk, dopiero dla nabrania sił do dalszej pracy pójdziemy wszyscy w podróż!

— W podróż! — krzyknęła Matylda i zaczęła skakać na jednej nodze z radości, bo już wiedziała, co to znaczy. Józia nie wiedziała, ale była pewna, że się dowie, bo rodzice przystali na wszystkie warunki nauczyciela.

Dziewczynki obie zabrały się do nauki gorliwie, bo Matylda zapewniała po cichu, że pan Vincent może zapomnieć o przyrzeczonej podróży, gdyby uczennice zapomniały o zadanych lekcjach. Józia nie bardzo się rozwodziła w listach nad swemi naukami, nazywając tylko swego nauczyciela bardzo dobrym, jak to zwyczajnie mówią o nauczycielach dzieci pilne i posłuszne, które na niezadowolenie nauczycieli nie zasługują. Zapowiedziała jednakże Józia, że pan nauczyciel pewno nawet na pisanie częstych listów do cioci nie zostawi czasu, tak okrutnie dużo pracować każe. Prosiła więc, aby ciocia nie troszczyła się, gdyby listów choćby przez cały kwartał nie było. Ciocia przyrzekła czekać cierpliwie, podejrzewając jednak troszeczkę, że Józia może chce postępem ją zadziwić, gdy po całym kwartale pracy list znowu napisze...

W istocie, gdy po upływie kwartału i dwóch tygodni nadszedł list, to był taki niezły, jak na małą dziewczynkę, że ciocia wcale nie przepisując przysłała go do redakcyi „Wie-

czorów“. Ciocia widziała dobrze, że było i w tym liście dużo błędów, ortograficznych zwłaszcza, ale był on tak porządnie mimo to napisany i tak zajmujący, że można było błędy wybaczyć, tém bardziej, że Józia nad polskim językiem pracuje tylko z mamą, oprócz lekcyi z nauczycielem, który przecież jest Francuzem.

Ciocię ucieszył ten list niezmiernie, bo obawiała się bardzo, żeby Józia po polsku nietylko pisać ale i mówić nie zapomniała w towarzystwie Matyldy. Ale teraz już się ciocia tego nie obawia. Redakcyja „Wieczorów“ chętnie też drukować będzie list Józji, wiedząc, że mali czytelnicy lubią czytać takie korespondencye od swych rówieśników. Poprawi się w nim tylko pisownia, a zresztą zostanie wszystko tak, jak mała podróżniczka napisała. Pokazuje się, że nietylko ciocia z wielkiego kochania dopatruje dużo różnych przymiotów w swojej siostrzenicy, ale że ta naprawdę jest na swój wiek dosyć roztropną i uważną panienką.

SZARADKA.

Co to za stworzonko, co tak cienko przedzie,
Że na taką przędę nikt się nie zdobędzie,
Ani prządka żywa, ani mechaniczna?
Stworzonko nie ładne, ale przędza śliczna...

Pos. Dajak

Azel.

Łamigłówka kryształowa zoologiczna.

1. Litera.
2. Ptasek krajowy
3.
4. Zwierzę drapieżne, żyjące w Europie
5. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę pięknego owadu.

Rozwiązania do N-ru 39-go:

Zagadki:

Halka.

Łamigłówki:

D W A
B A L
K R A
P S Y
Ł Z A
P A S
L W Y
L A S